

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Za wschodnią ścianą.

Urzędowa sowiecka agencja „Tass” doniosła ostatnio o niezwykle znamiennej uchwale Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej, która może służyć jako punkt orientacyjny dla oceny sytuacji wewnętrznej w Sowietach. Uchwała ta dotyczy kolektywizacji rolnictwa i wzywa wszystkie organizacje partyjne do energicznej walki z gwałtownymi metodami kolektywizacji oraz do rozpoczęcia akcji, zmierzającej do pozyskania mas chłopskich. Uchwała zabrania władzom lokalnym terrorowania drobnych kupców, zamykania targów i karania włościan, sprzedających produkty rolne w wolnym obrocie. Uchwała zaleca również umiarkowanie w sprawie zwalczania religii i zamykania świątyń, przyczem posuwa się tak daleko, że grozi pociąganiem do odpowiedzialności tych urzędników sowieckich, którzy dopuszczają się obrazy uczuć religijnych ludności włościańskiej.

Uchwała powyższa jest niezwykle znamienym objawem osobliwych wahań polityki sowieckiej. Przed trzema miesiącami Stalin ogłosił znany artykuł, wzywający do zniszczenia „kułaków” jako klasy, zaprowadzenia powszechnej kolektywizacji rolnictwa i wyłączenia ośrodków życia religijnego. Na podstawie tego artykułu na całym obszarze Unji Sowieckiej rozpoczęto gwałtowną akcję kolektywizacji. Wyłączono nie tylko część zamożną włościaństwa, lecz w ogóle wszystkich włościan, opierających się kolektywizacji rolnictwa. Konfiskowano nie tylko ziemię, nie tylko inwentarz, lecz i budynki gospodarcze, drób, a nawet przedmioty domowego użytku. Po dwóch miesiącach forsownej przez rząd sowiecki kolektywizacji Stalin zamieścił nową enuncjację pod znamienym tytułem: „Zamroczenie głowy od powodzenia”. Stwierdził on w tym artykule, że 13 milionów gospodarstw włościańskich, t. zn. więcej niż połowa wszystkich gospodarstw włościańskich w Unji Sowiec-

kiej, została skolektywizowana, — lecz jednocześnie Stalin stwierdził wysoce niepokojące objawy na tle kolektywizacji: — zmuszenie włościan terorem do wstąpienia do komun rolnych, rujnowanie wraz z „kułakami” włościan niezamożnych i małorolnych oraz rozbudzenie instynktów rabunkowych w szerokich rzeszach wielotysięcznej armii komunistów, przeprowadzających kolektywizację i przywłaszczających na swoją rzecz skonfiskowane od włościan majątki. Jednocześnie Stalin skonstatował niepokojący wzrost antysowieckich nastrojów wśród olbrzymiej masy chłopstwa i wzywał dlatego do zaniechania ostrych środków w przeprowadzeniu kolektywizacji i do ograniczania się w tej sprawie do dobrowolnie powstających spółdzielni rolniczych, któreby środki produkcji rolnej uspołeczniły.

Wystąpienie Stalina nie wywołało jednak tych skutków, na jakie liczyła władza sowiecka. „Prawda” oraz inne kierownicze dzienniki sowieckie niemal codziennie zamieszczały alarmujące wiadomości o powszechnym zamęcie, panującym na wsi na tle nieustających represyj i terrorystycznych metod miejscowych władz organizacyj komunistycznych, rozagitowanych raz rzuconem hasłem. Już wtedy było widocznym, że dyktator wydając dekret o powszechnej kolektywizacji rolnictwa, rozpetał ruch, z którym nie może dać sobie rady. Upłynął jeszcze miesiąc, a w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, wynikającego z niemożności skutecznego zasiewów wiosennych, Centralny Komitet Partii, zabrał głos w tej sprawie. Jak widzieliśmy wyżej, uchwała Komitetu Centralnego postawiła kropkę nad „i” i w jeszcze bardziej stanowczy sposób, niż to poprzednio uczynił Stalin, wzywa rzesze komunistów do odwrotu nie tylko z frontu kolektywizacji, lecz i z frontu walki z religią.

Uchwała ta charakteryzuje całą groźną sytuację wewnętrzną w Sowietach. Rząd sowiecki obudził ciemne instynkty i powtórzył znane hasło Lenina:

„Grab nagrabennoje!” Lenin rzucił to hasło w stosunku do kapitalistów i do burżuazji miejskiej. Jako uczeń, Stalin powtórzył to hasło już nie w stosunku do nieistniejącej w Sowietach burżuazji, lecz w stosunku do włościan. W tem właśnie tkwi różnica pomiędzy komunistyczną strategią Lenina i Stalina. Łatwo było zniszczyć nieliczną w dawnej Rosji klasę burżuazyjną, — ale zniszczyć 140 milionów włościan okazało się nieco trudniejszym problemem.

Napięcie sytuacji politycznej w Sowietach doszło do tego stopnia, że rząd sowiecki widział się zmuszonym do radykalnej zmiany samej struktury aparatu państwowego w celu przystosowania go do oczekiwanego wybuchu krwawej wojny domowej. Podłożem tej reformy są coraz bardziej zaognione stosunki wewnętrzne na tle kolektywizacji i na tle wzrastającego kryzysu aprowizacyjnego. Celem zaś tej reformy jest usprawnienie działalności G. P. U. jako jedynej ostoji rządów sowieckich. Reforma polega na tem, że komisariaty spraw wewnętrznych w republikach związkowych będą zniesione, a ponieważ komisarzem spraw wewnętrznych w Sowietach jest zazwyczaj naczelnik G. P. U., przeto reforma ta odciąży kierowników G. P. U., od zajmowania się sprawami komunalnymi i pozwoli na skoncentrowanie całej energii w kierunku polityczno-policyjnym. Jednocześnie ze wzmocnieniem dozoru politycznego nad ludnością reforma osiąga drugi cel, jakim jest dalsza centralizacja aparatu administracyjnego, a przez to samo zmniejszenie znaczenia zasady federacyjnej. W ścisłym związku z polityką centralizacyjną Moskwy pozostaje również nie dawno przeprowadzone zniesienie krajowych sekretariatów generalnych partij komunistycznych i podporządkowanie ich wszystkim sekretariatowi generalnemu w Moskwie, na którego czele stoi, jak wiadomo, sam Stalin. Po ostatniej reformie stanie się G. P. U. bardziej sprawnym

aparatem polityczno-policyjnym do ścigania elementów, niezadowolonych z rządów sowieckich.

Ostatnie posunięcia rządu sowieckiego wskazują wyraźnie, że zbliża się brzemienna w skutki rozgrywka pomiędzy dyktaturą sowiecką, a doprowadzoną do rozpacz i rzuconą w otchłań nędzy ludnością. Jest bardzo wątpliwe jednak, czy posunięcia te uratują Unję sowiecką od żywiołowego wstrząsu, który może zupełnie zmienić porządek rzeczy na Wschodzie Europy.

Przypomnienie.

Lecz, prócz starych, są dzieciaki
Jak kwitnące kwiatem sady.

Or-ot.

Korzystając z gościnności, jakiej dowody miałem niejednokrotnie ze strony Sz. Redakcji „Przeгляdu Wil.”, pozwolę sobie nadużyć jej jeszcze raz, aby odsłonić przed oczami społeczeństwa polskiego najboleśniejszą, dotąd nie zagojoną ranę ludności litewskiej w Wileńszczyźnie, do czego mię skłania okoliczność następująca.

Już od dłuższego czasu prasa warszawska różnych obozów dużo miejsca poświęca rocznicy strajku szkolnego w Kongresówce w roku 1905. Jestem jeszcze młody i owych burzliwych czasów, kiedy zachwiał się po raz pierwszy fundamenty potęgi carskiej — nie pamiętam. Wiem tylko jedno, że kiedy na polach Mandżurji wojsko rosyjskie ponosiło jedną za drugą klęskę — tu, w Litwie, jak również w Polsce ujarzmione i pokorne masy zaczęły podnosić głowę. I nie tylko głowę, podnosiły nawet ręce, stając do otwartej walki z caratem. Duch buntu przeciw ciemnościom przeniknął również do sfer młodzieży szkolnej, a nawet dzieci. Odruchy protestu jeszcze przed rokiem 1905 miały miejsce w niektórych szkołach w Łotwie, z których między innymi był wydalony obecny prezydent Litwy Niepodległej i cały szereg innych uczniów Litwinów, którzy później wyrosli na

Nasz kompozytor.

D. 8 czerwca odbędzie się w Katowicach zjazd śpiewaków z całej Polski. Podczas zjazdu nastąpi poświęcenie i odsłonięcie pomnika Moniuszki...

(Tel. P. A. T.)

Nie mamy dotychczas wyczerpującej monografii o życiu i twórczości Stanisława Moniuszki. Ani przestarzały życiorys Walickiego, ani najnowszy zarys biograficzny Polińskiego nie dają należytego pojęcia o całokształcie jego dorobku muzycznego i nie analizują dostatecznie głęboko charakteru jego twórczości.

Dość powiedzieć, że przez długi czas krążył ogólnik o „włoszczyźnie” Moniuszki, oparty na formalnym wyglądzie głównych jego natchnień. Poliński zaś i nowsi krytycy uważają Moniuszkę za „muzyka narodowego”, dopatrując się tego ducha narodowego, polskiego nawet w pierwiastku ludowym, który tak silnie występuje w szeregu jego utworów.

Tymczasem znana jest rzeczą, że Moniuszko urodził się i wyrósł w Mińszczyźnie, wśród ludu białoruskiego i czerpać mógł natchnienie wyłącznie z gleby białoruskiej.

Sam się zresztą do tego wyraźnie przyznawał pisząc w prospekcie do „Śpiewnika domowego”: „Co jest narodowe, krajowe, miejscowe, co jest echem dziecinnych naszych wspomnień, nigdy mieszkańcom ziemi, na której się urodzili i wzrosli podobać się nie przestanie”. Trudno dobitniej zaznaczyć krajowy, a jakby dziś powiedziano „regionalny” charakter twórczości Moniuszki.

Tak też rozumiał Moniuszkę bliski jego przyjaciel i pokrewny mu duchem Syrokomla, stwierdzając w znanym wierszu:

„Gdy widzę promienne, natchnione twe oko,
Gdy słyszę twą piosnkę natchnioną,
Łaskawą Opatrzność uwielbiam głęboko,
Że iskrę skrzeszało w twe łono;
Że pamięć o Litwie w Niebiosach się mieści,
Że piewce pomiędzy nas budzi,

wielce zasłużonych działaczy w ruchu odrodzeniowym swego narodu. Lecz owe protesty zdarzały się sporadycznie, masowego charakteru zaś nie przybrały.

Inaczej się działo w owym pamiętnym 1905 r. w Polsce. Tam wybuchł strajk powszechny szkolny. Szczegółowe wspomnienia o nim umieszcza dziś prasa polska. Któż wtedy strajkował? Strajkowali uczniowie szkół średnich. Strajkowali nie dla czczej demonstracji, ale w tym celu, żeby wywalczyć prawa dla swego ojczystego języka.

Teraz, po 25 latach owego słynnego strajku szkolnego, w całej Polsce szeroko nad tem wydarzeniem historycznym się rozwodzą, przypominając czasy niewoli moskiewskiej, którą głęboko odczuwały nawet dzieci, organizując samorzutnie strajk powszechny. Ten strajk szkolny, w którym wzięła udział olbrzymia większość młodzieży polskiej — jest chlubą narodu polskiego. Można być dumnym z działy szkolnej, która zamiast myśleć o stopniach i zabawach podnosi głos wołając „My żądamy polskiej szkoły“.

Tak wygląda przeszłość, a teraz obrazek współczesny.

Dnia 5 października r. 1927 z rozporządzenia kuratorjum szkolnego wileńskiego zostały zamknięte jedyne litewskie seminarjum nauczycielskie i 48 szkół ludowych litewskich — bez żadnego powodu i winy z ich strony. Wszystkie zabiegi o otwarcie ich, czynione przez społeczeństwo litewskie spełzły na niczem. Wyobraźmy sobie: 300 uczniów seminarjum i prawie 2000 dzieci z 48 szkół ludowych na początku roku szkolnego nieoczekiwanie zostają pozbawieni nauki. Kto ponosi za te czyny materialną i moralną odpowiedzialność? W XX wieku, w dobie obrony praw mniejszości narnarodowych, na odwiecznej ziemi litewskiej zostaje wymierzony dotkliwy cios oświacie litewskiej.

Być może, wówczas sfalszowany „list 28 nauczycieli Polaków z Worń“ i szalona kampanja antylitewska prasy polskiej spowodowały powyższe zarządzenie władz szkolnych, ale przecież od tej chwili upłynęło już przeszło dwa lata, było więc czasu dosyć, by wyjaśnić nieporozumienie, cofnąć niczem nieusprawiedliwione represje i wynagrodzić społeczeństwu litewskiemu niesłusznie wyrządzoną krzywdę. Niestety. Trzeci rok upływa od tej, naprawde

smutnej daty, a wszystko trwa po dawnemu, bez żadnej zmiany. Wszystkie reklamacje społeczeństwa litewskiego pozostają bez skutku, nieodpowiada się na żadne w tej sprawie pismo. Wyrósł dokoła jakiś ślepy mur, w który uderzają głosy litewskie, nie wywołując żadnego echa.

Kiedy ostatnio na dorocznym zgromadzeniu tow. ośw. „Rytas“ poruszyłem tę kwestję i złożyłem wnioszek skierowania sprawy do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, to wielu obecnych wyraziło zdziwienie, iż ja jeszcze wierzę w skuteczność tego rodzaju środków. Przytaczam ten fakt, jako bardzo smutny objaw, który wymownie świadczy o przygnębieniu i pesymistycznym usposobieniu społeczeństwa litewskiego.

I trzeba to podkreślić. Kiedy naród polski w tym roku obchodzi radośnie 25-tą rocznicę strajku szkolnego, to my Litwini wileńscy obchodzimy w smutku i żalobie trzecią rocznicę zamknięcia naszych szkół. A któż zgadnie, w jakim nastroju będziemy ją obchodzili po 25 latach?

Dlatego przypominam tę palącą sprawę i stawiam ją przed oczy społeczeństwu polskiemu, które obchodzi w tym roku rocznicę strajku szkolnego, zwracając jego uwagę, że nie wszystko jest w porządku, że tu, tysiące dzieci litewskich tułają się od roku 1927 bez własnych szkół, napróżno oczekując na ich otwarcie.

I nawet, jeżeli starsze społeczeństwo litewskie zapomni z biegiem czasu o tej smutnej dacie, to młodzież nasza będzie ją pamiętała dobrze. Im dłużej będzie trwała krzywda jej wyrządzona, tem rana będzie głębszą i bardziej jątrząca.

R. Mackiewicz.

(Przyp. Red.). Nie wiele możemy dodać ze swej strony do powyższej wymownej skargi. Wiemy zgóry, co odpowiedzą na nią miarodajni politycy polscy: retorsje z października 1927 r. były podyktowane przez politykę odwetową i konieczność jej stosowania dotychczas trwa w całej pełni, ze względu na stanowisko rządu litewskiego wobec potrzeb oświatowych ludności polskiej w Republice Litewskiej. Powiedzą nam: proszę porównać ilość szkół litewskich w Wileńszczyźnie i ilość szkół polskich w Ko-

Że twojem imieniem i blaskiem twej cześci
Powiększa cześć naszą u ludzi.

Lecz jeszcze nie tutaj twa wielkość się znaczy,
Tu pełni Opatrzność swe plany.
Bóg natchnął ci twórczość, wlał ogień śpiewaczy,
Ty śpiewasz — boś na to zesłany.
Serdeczniej podziwiać i kochać Cię będziem,
Żeś Litwie poświęcił się cały,
Żeś stanął jak Orfej z muzycznym narzędziem
Rozmiękczać kamienie i skały.

Widziałem po świecie jak pieśni twej siłą
Zawrzały kamienne umysły,
Jak oko, co dotąd bezmyślnie świeciło,
Poczuło, że lży mu wytrysły,
Słyszałem jak napiew przez ciebie schwycony
Na polu lub w chacie rolnika,
Napawa urokiem litewskie salony
I swojskiem uczuciem przenika”...

A inny współczesny poeta i również przyjaciel Moniuszki W. Dunin-Marcinkiewicz z powodu przy-

jazdu Moniuszki do Mińska witał go w języku białoruskim:

„A trecci dudar mież nami uzros, jon nam bratka,
Jamu Mienskaja ziamielka rodnieńkaja matka.

— — — — —
Trecci dudar jak zahudze piesienki radnieńki,
Biady dyj hora zabudziesz, staniesz wiesialeńki!
A tak dumki pryunyuny soładka śpiewaje,
Szto za serca, bacz klaszczami, dziataczki, chapaje”.

Ale nietylko ziemia białoruska miała taki głęboki wpływ na twórczość Moniuszki, również i w pieśni ludowej litewskiej znalazł on natchnienie do niektórych swych utworów, przedewszystkiem do „Mildy“ i ilustracji muzycznej „Witoloraudy“ Kraszewskiego. Wspomina o tem Tripplin w swych wspomnieniach z podróży po Litwie i Żmudzi, opierając się na wyznaniu samego Moniuszki.

„Nic nie stworzyłem nowego — odpowie mi wielki a skromny artysta — ta sama myśl, która brzęczy w mych utworach, rozlana jest w starodaw-

wieńszczyźnie. Dopóki nie ulegnie radykalnej zmianie stosunek rządu litewskiego do kultury i języka polskiego w Litwie Niepodległej, dopóty nie mamy potrzeby bawić się w zbytnią tolerancję względem dezyderatów oświatowych litewskich u siebie.

Nie potrzebujemy nadmieniać, że polityki odwetowej nie uznajemy i uważamy ją za przeżytek barbarzyński. W naszym przekonaniu, przeciwnie, tylko postępowanie tolerancyjne i sprawiedliwe, może podziałać dobroczynnie na zaciętość strony przeciwnej. Walka o język wydaje się nam zresztą wogóle czemś tak głupim i niekulturalnym, że nie jesteśmy absolutnie w stanie zrozumieć psychiki tych polityków, którzy gotowi są narazić najistotniejsze interesy krajowe, państwowe i cywilizacyjne, byle ich upodobaniom do formy stało się zadość. Może już za 25 lat ludzkość dojrzeje o tyle, że będzie się zapatrywała na politykę wynarodawiającą w naszych czasach z takim samym politowaniem, z jakim my patrzymy dziś na średniowieczny fanatyzm wyznaniowy.

Szermierze o język białoruski w Kościele katolickim.

Wśród ogółu polskiego, nieobezanego z ruchem narodowym białoruskim panuje ogólne mniemanie, że kwestja wprowadzenia języka białoruskiego do nabożeństwa dodatkowego w Kościele katolickim jest zagadnieniem sztucznym, nie wyływającym z potrzeb i pragnień ludności, lecz rozdmuchiwanem wyłącznie przez paru księży „białorusomanów”. Tym wszystkim, co tak myślą i sądzą, poleciłbym gorąco zapoznać się z wydaną świeżo pracą ks. A. Stankiewicza p. t. „Rodnaja mowa u świątyniach”, o której była już krótka wzmianka w „Przeglądzie Wil”.

Książeczka ta zawiera mnóstwo niezmiernie ciekawego materiału, na podstawie którego można odmalować w ogólnych zarysach dzieje walki o prawo obywatelstwa dla języka białoruskiego w Kościele. Nie od dziś ona się datuje i nie paru tylko księży

bierze w niej udział. Dowiadujemy się o całym szeregu działaczy spośród duchowieństwa katolickiego, którym sprawa języka białoruskiego w Kościele leżała blisko na sercu i którzy położyli duże zasługi na tem polu. Wielu spośród nich żyje i pracuje dotąd, chociaż działalność ich wobec wyraźnie nieprzychylnego stanowiska Wileńskiej Kurji Metropolitalnej jest mocno skrepowana, wielu jednak już przedwcześnie zeszło do grobu.

Tym zmarłym przedewszystkiem należy się chociaż krótkie wspomnienie na podstawie ich życiorysów, skreślonych ręką ks. Stankiewicza.

Galerję tych działaczy otwiera osoba ks. Fr. Budźki, jednego z pionierów odrodzeniowego ruchu białoruskiego.

Pochodził ks. Budźko z gminy parafjanowskiej pow. wilejskiego. Ukończywszy seminarjum w Petersburgu, wstąpił do Akademii Duchownej, gdzie duży wpływ w kierunku uświadczenia narodowego białoruskiego wywarł nań prof. Epimach-Szypillo, znany badacz i pracownik na polu piśmiennictwa białoruskiego. Będąc jeszcze klerykiem za swe tendencje białoruskie ks. Budźko był źle widziany przez ówczesne wyższe władze kościelne. Administrator diecezji wileńskiej ks. prałat Frackiewicz specjalnie zwracał uwagę proboszcza w Parafjanowie, by ten nie dopuszczał ks. Budźki do katechizacji dzieci i wogóle trzymał się odeń zdaleka, jako jednostki szkodliwej i nieprawomyślnej z punktu widzenia kościelnego. Robiono mu też trudności z wyświęceniem go na księdza. Jedyne dzięki przyjaznym stosunkom z biskupem Denisewiczem, który był sympatykiem ruchu białoruskiego, ks. Budźko otrzymał święcenia kapłańskie i mianowany został wikarym do Połocka.

Krótko żył ks. Budźko, bo już w r. 1920 go nie stało, ale wiele zdążył uczynić dla sprawy białoruskiej. Największą jego zasługą było przełożenie na język białoruski licznych ksiąg religijnych, czem się przyczynił wydatnie do spopularyzowania języka białoruskiego w życiu kościelnym. Jego staraniem też zawdzięcza swe powstanie pismo katolickie „Biełarus”, które wychodziło w Wilnie w latach 1913—14.

Niemniej wybitną jednostką w ruchu białoruskim był ks. Al. Astramowicz, poeta białoruski, pisu-

nej pieśni ludowej Żmudzinów od Niemna do Baltyku, od Prus aż do Kurlandji. Usłyszysz ją pan na brzegach Niewiaży i Dubissy... Są to pieśni, które odległe wieki przekazały wiernej pamięci żmudzkiego ludu i które on oddać umie tkliwemi i uroczyscie różnemi głosami. Ja nic nie utworzyłem: w wieku wrażliwości podróżując po Żmudzi natchnąłem się duchem pieśni prostego ludu i mimowolnie przelałem go we wszystkie moje utwory, szanując go jak święty zabytek najodleglejszych czasów i jako najoczywistszy dowód przyrodzonej Litwinom poezji”.

Wiem, że w tym duchu odpowiedział mi Moniuszko, lecz daleko piękniejszemi słowy... I tak jest w istocie. Jak się Meyerbeer przejął hymnem Lutra i stworzył arcydzieło muzyki, tak się Moniuszko również wrażliwy, jeszcze głębszy i przenikliwszy przejął szlachetnemi raudami Żmudzi i stworzył jeszcze większe arcydzieła muzyki, lecz te nie wzbudziły poklasków tłumu, bo przy ich wystawie brakło trąb jerychońskich, tamtamów indyjskich, ryku dział, organu, trzasku innych nowowynalezionych łoskotów.

Później na Żmudzi bawiąc miałem kilkanaście razy sposobność sprawdzenia rzetelności słów Moniuszki: raudy Żmudzinów mogą natchnąć najszlachetniejsze myśli i stworzyć arcydzieła”.

Te pierwiastki litewskie i białoruskie w twórczości Moniuszki nie są prawie całkiem uwzględniane przez krytyków i biografów polskich, którzy główny nacisk kładą na motywy szlachecko narodowe. Jeden z tych krytyków muzycznych p. W. Noskowski utrzymywał nawet, że Moniuszko jest bardziej szlachecki, niż ludowy. „Nuta kontuszowa płynie mu najszerszej i najbardziej bezpośrednio. Słuchając „Verbum nobile” klejnotu, na którym przez łupę nie dopatry się nikt skazy włoskiej, jesteśmy uderzeni siłą wyrazu szlacheckiego, podczas gdy element ludowy nietylko z woli libretta zeszedł w cień, ale tam, gdzie się pojawia tekstowo, czy ściśle muzycznie szybuje jako wyraz artystyczny niżej, lub wprost chowa swe folklorystyczne cechy, jak np. w precudnej zresztą serenadzie dla Zuzi. Nawet w „Halce” szlachta jest muzycznie bardziej szlachecka, niż lud. O prologu

iący pod pseudonimem A. Ziaziula. Urodzony w r. 1878 we wsi Nowosiady gm. holszańskiej w pow. oszmiańskim ukończył seminarjum również w Petersburgu i jeszcze jako kleryk zaczął pisywać wiersze białoruskie. Twórczość poetyczno-religijna ks. Astramowicza przyczyniła się w dużej mierze do podkopania powszechnego uprzedzenia przeciwko mowie białoruskiej, jako rzekomo nienadającej się do posługiwania się nią w Kościele. Ks. Astramowicz jest między innymi autorem hymnu religijno-narodowego „Boża, szto kaliś narody na asobki padzieliu”, który — jak stwierdza ks. Stankiewicz — dziś już jest szeroko znany w środowisku katolickiej ludności białoruskiej.

Będąc proboszczem kolejno w Rakowie, Annopolu, Śmiłowiczach i Siennie ks. Astramowicz często miewał kazania po białorusku a w r. 1914 na pogrzebie ks. M. Radziwała w Kuchcicach (pow. ihumeńskiego) wygłosił mowę żałobną w języku białoruskim.

Ks. Astramowicz zmarł w Siennie w Mohylowszczyźnie w r. 1921.

Sporo miejsca poświęca ks. Stankiewicz wspomnieniu o ks. Z. Jakuciu, pochodzącym z Widz pow. brasławskiego, który był proboszczem w Szarkowszczyźnie.

Ks. Jakuc był pierwszorzędnym kaznodzieją białoruskim i posługiwał się mową białoruską, gdzie tylko mógł. Kazania białoruskie wygłaszał nie tylko w samym kościele w Szarkowszczyźnie, ale i w innych kościołach okolicznych, korzystając z festów i t. p. uroczystości. Dzięki zaletom kapłańskim i ideowym pobudkom w działalności ks. Jakucia, jego propaganda białoruska miała ogromny wpływ na ludności przyczyniła się wielce do obudzenia wśród niej świadomości narodowej. Ks. Jakuc zmarł w r. 1924.

O ks. K. Stepowiczu, znanym poecie białoruskim, pisującym pod pseudonimem Kaz. Swajaka nie będę się rozwodził. Obszerne wspomnienie pośmierne o nim było zamieszczone w „Przeglądzie Wil.” w r. 1926.

Listę zmarłych szermierzy katolicko-białoruskich zamyka ks. kan. A. Lisowski, który rozstał się z tym światem d. 9 października 1929 r. Ks. Lisowski przełożył na język białoruski znaczną część Nowego Te-

stamentu, ale przekład jego spoczywa w rękopisie.

Wśród żyjących autor wymienia dziesiątki nazwisk tych księży, którzy zabiegali o zapewnienie językowi białoruskiemu należytych mu praw w życiu kościelnem. Do najbardziej zasłużonych należą księża: A. Stankiewicz, W. Szutowicz, W. Godlewski, A. Cikota, I. Reszeć, St. Hlakowski, J. Siemaszkiewicz, F. Abrantowicz, F. Romejko, M. Piotrowski, J. Hermanowicz, P. Tatarynowicz i wielu, wielu innych, którzy zaznaczyli swą solidarność z ruchem narodowym białoruskim lub też okazali mu swą przychylność i życzliwość.

Sama ich liczebność mówi dostatecznie wyraźnie o znaczeniu i doniosłości zagadnienia języka białoruskiego w Kościele katolickim.

Vigilans.

Metropolita Andrzej Szeptycki jako działacz społeczny i narodowy.

(Dokończenie).

Rozumie się, iż cała ta działalność kulturalna i objawy czynnej miłości bliźniego pochłaniały zawsze mnóstwo pieniędzy. Dawno przed wojną nieraz wspominał b. p. dr. Tadeusz Sołowij, osobisty przyjaciel i prawny doradca ks. metropolity o niemożliwości ułożenia jakiegokolwiek preliminarza budżetowego, bo wydatków z reguły nigdy nie można było przewidzieć; dzisiaj użala się na to samo nie tylko administrator stołowych dóbr gr.-kat. metropolji o. mitrat Wojnarowski, ale i skromny braciszek O. S. B. M., któremu powierzona jest pieczę nad kasą. Zresztą najlepiej świadczy o stałej płynności wszelkiej gotówki w murach św. Jura ten fakt, iż w pałacu ks. metropolity niema żadnej kasy ogniotrwałej, bo one zdawna, jak zbędne tam, znajdują się w Muzeum.

Zaspakajając wielkie potrzeby ludzi cierpiących, będących w nędzy, wiele obiecujących, pnących się ku wyżynom twórczego życia i na szczyty działalności społecznej — ks. metropolita prowadzi żywo-

„Strasznego Dworu”, o pierwszym akcie tej samej opery i o całych ustępach aktów następnych wspominać nawet nie trzeba, tak uderzają rycerstwem i złotolitością pasa”.

Niewątpliwie, że Moniuszko ze swego dzieciństwa wyniósł wspomnienia nietylko wiejskiej sielanki, ale i fantazji szlacheckiej, która się przechowała w tradycjach domowych rodzinnych oraz w całym tem środowisku towarzyskim, w jakim za młodu przebywał. Że ta nuta szlachecka w jego operach dominuje, należy to zapewne przypisać w znacznej mierze pogoni za efektami kolorystycznymi, których nie mogła dać smętna melodia litewska ani białoruska. W pieśniach jednakże, kantatach, balladach Moniuszki trudno doszukać się jakichkolwiek reminiscencji szlachecko-rycerskiej przeszłości. Cechuje je wszystkie niemal rzewność i powaga, tak odpowiadająca charakterowi przyrody i ludności naszego kraju.

Wielki już czas byłby, aby zanalizowaniem twórczości Moniuszki zajął się jakiś znawca głęboki i bez-

stronny, któryby nie poprzestał na ogólnikowym określeniu, że Moniuszko jest wybitnym muzykiem „narodowym”, ale potrafił ściśle zdefiniować, co pod tem mianem „artysty narodowego” należy rozumieć. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Moniuszko zajmuje w muzyce takie same miejsce co Syrokomla w poezji. A czy kto nazwie Syrokomlę wybitnym „poetą narodowym”?

Zarówno Syrokomla, jak Moniuszko należą do owej kategorii twórców, którą nazwałbym „krajową”, gdyż na ich twórczość składają się dwa zasadnicze pierwiastki: litewski i białoruski, ujęte przez pryzmat kultury polsko-szlacheckiej.

K. W.

nadzwyczaj skromny. niektórzy nawet twierdzą, iż za nadto skromny, jak na dostojnika Kościoła.

Tak, próżności niema w życiu tego człowieka, chociaż na tych wyżynach władzy i znaczenia społecznego tak często ona cechuje ludzi czczych i samolubnych. Niema też u tego człowieka żadnego przywiązania do dóbr doczesnych, a jest szczerobliwość na sprawy kultury i na zaspokojenie potrzeb nędzy ludzkiej. Ks. metropolita idzie śladem dawnych władzyk, którzy według słów legendy oddawali potrzebującym ostatni kęs chleba, ażeby ocalić ciała powierzonych sobie dusz wiernych. A zatem postępuje on tak, jak rzetelny szafarz kulturalnego mienia swego narodu postępować powinien.

Sam wobec siebie ascetycznie usposobiony, gdy chodzi o dobro doczesne jego bliźnich wiernych, występuje zawsze jako wielki realista, który potrafi zrozumieć i zaspokoić materialne potrzeby żywego człowieka. Zdaje się widzieć daleką przyszłość i dla niej stara się stworzyć odpowiednie podłoże realnego rozwoju. Dopomagając rozwojowi narodowej kultury ukraińskiej i zabezpieczając stały warsztat pracy — naukowej, artystycznej i wogóle duchowej w założonym przez się Muzeum Narodowym ukraińskim we Lwowie, łączy tym sposobem materję z duchem i staje się twórcą naradzającego się życia kulturalnego swego narodu. XXV-lecie wybitnej pracy naukowej, rozpoczęte w bieżącym roku ptzez ukraińskie Muzeum Narodowe w Lwowie na progu XXX-lecia władcytwa ks. metropolity we Lwowie jest najlepszym tego dowodem.

Nic dziwnego więc, iż tej miary działacz społeczny już od początku swego władcytwa we Lwowie zajął zaszczytne miejsce w polityce narodowej ukraińskiej. I tutaj to również spotykamy się ze znaną nam poprzednio zasadą usuwania, łączenia, godzenia i łagodzenia wszelkich przeciwieństw i zgrzytów jak w stosunkach narodowościowych polsko-ukraińskich, tak i w społecznych ziemiańsko-chłopskich i wreszcie w międzypartyjnych zachowawczo-postępowych. Wyszedłszy z najwyższych towarzyskich sfer, które od 1848 r. były stale u steru rządu, metr. Szeptycki zdawał sobie doskonale sprawę z polityki zachowawczej nie tylko tych kół, ale i dworu cesarskiego oraz hierarchji kościelnej. Pozostając od 30 lat w najściślejszym związku z duchowieństwem i wiernymi swojej archidiecezji, którą odwiedza rok rocznie w czasie konicznych wizytacji, a nawet udając się za ocean na teren emigracji, oraz utrzymując stały kontakt z wszystkimi kołami ukraińskiej inteligencji najróżniejszych kierunków politycznych, ks. metropolita staje się gruntownym znawcą układu sił partyjnych i różnic programowych poszczególnych ugrupowań ukraińskiego społeczeństwa. Ale równocześnie nie zapoznaje żywotnych potrzeb małorolnego chłopca i robotnika, którym pomaga według sił swoich. I gdyby nie wybuch światowej wojny, to pewnem jest, że głód ziemi, odczuwany przez ukraińskiego wieśniaka byłby w znacznym stopniu zaspokojony.

Dzięki temu głębokiemu wżyciu się w światopoglądy sfer panujących i upośledzonych ks. metropolita w czasie swego udziału w Sejmie galicyjskim i Wydziale krajowym był rzeczywistym regulatorem stosunków polsko-ukraińskich, zwłaszcza gdy potrafił zakończyć długoletnią waśń polsko-ruską w Galicji pierwszą ściśle rzeczową polityczną ugodą w r. 1913. Jedyne przez upór partyj zachowawczo-nacjonalistycznych w ugodzie tej nie były uwzględnione zasady szeroko demokratyczne. Ale właśnie ze

względu na ten upór przyjęty klucz narodowościowy byłby wielkim wyłomem w dotychczasowym układzie sił politycznych polsko-ruskich w Galicji, gdyby danem było jej wejść w życie.

Specjalnie ważną była rola metropolity Szeptyckiego w dziedzinie wewnętrznej polityki narodu ukraińskiego, który dzielił się na starorusinów — moskalofilów, przynajmujących się do jednoci narodowej z rdzenną Moskwą, stanowiących około 15 proc. ogółu ludności i świadomych Ukraińców, politycznych i narodowych wrogów Moskwy. Przy różnych okazjach musiał ks. metropolita przytępiać ostrze strzał jednej i drugiej strony, tem bardziej iż jemu osobiście bardzo zależało na pozyskaniu dla idei unji cerkiewnej zarówno Kijowa, jak i Moskwy. Na tem polu starał się on pogodzić i swoje duchowieństwo, o ile ono należało do różnych kierunków polityczno-narodowościowych, a również musiał odpowiednio wpływać na unjonistycznych pracowników Wschodu, o ile oni występowali jako przedstawiciele narodowych dążeń Ukrainy i Białorusi, ażeby oni mogli pracować obok przedstawicieli wówczas zwierzchniczej Moskwy.

Ale wbrew woli ks. metropolity niektórzy działacze polityczni zbliżali się doń z hasłami unjonistycznymi i w ten sposób nieraz bardzo skutecznie zasilił fundusze dla swojej nawskroś politycznej działalności. Działo się to w chwili wysokiego napięcia podziemnej rewolucji rosyjskiej, która umiała znaleźć drogę do zaufania i kieszeni ks. metropolity. Tylko dzięki wielkiej prostocie tego człowieka mogło się stać, iż tak wytrawny polityk jak ks. metropolita stawał się niekiedy tylko nieświadomem narzędziem w ręku działaczy rewolucji narodowościowej i politycznej w Rosji. Umieliby o tem coś niecoś powiedzieć rewolucjoniści białoruscy i ukraińscy z lat 1903 — 1914, a również i rewolucjoniści pierwszej i drugiej Dumy. Ten mimowolny udział swój w rewolucji rosyjskiej odpokutował metropolita srodze jako więzien cara od września 1914 do marca 1917 r. Ale i w charakterze więźnia trwał on dalej na stanowisku swoim — konieczności przymierza między Zachodem a Wschodem, między nizinami kultury materialnej i szczytami lotu ducha. Nawet ponure, zimne, mokre kazamaty suzdalskiego monasteru nie zamglily wesołego wyrazu jego oczu i nie pobrużdziły jego czoła posępniemi zmarszczkami. I w niedoli znajdował pociechę w ufności w radosną przyszłość idei dobra, prawdy i woli. I może danem mu będzie — gałązkę pokoju, z którą szedł przez całe życie, położyć na szalę sporu społecznego, ekonomicznego i politycznego wewnątrz swego narodu. Może uda mu się przyczynić się do złagodzenia waśni narodowościowej, podsycanej spaczonym pojmoowaniem wyższości religijnej i kulturalnej jednego narodu nad drugim. Może kiedyś danem mu będzie wnieść przymierze między zwycięzców i zwyciężonych.

Lwów.

J. Swiencickyj.

Od słów do czynu.

Poruszona w prasie miejscowej myśl uczczenia 500-nej rocznicy zgonu Witolda Wielkiego uroczystym obchodem w Wilnie zaczyna się powoli przeoblekać w kształty realne. Powstały już dwa komitety jubileuszowe.

Jeden — litewski utworzył się zresztą już daw-

niej w końcu ub. roku, ale nie dawał dotąd znaków życia. Dopiero przyjazd p. Donata Malinowskiego z Kowna, który przywiózł ze sobą gotowy projekt ustawienia sarkofagu w Katedrze pobudził komitet do żywszej działalności.

D. 16 marca komitet litewski zwrócił się do ks. arcybiskupa-metropolity wileńskiego z prośbą o udzielenie swej zgody na złożenie pozostałych szczątków w: ks. Witolda do odpowiedniej trumny i ustawienie w Bazylice sarkofagu według przedłożonego przez obywatela pow. trockiego p. Donata Malinowskiego projektu.

Pierwszy jednakże występ jubileuszowego komitetu litewskiego spotkało niepowodzenie. W odpowiedzi bowiem na swą prośbę komitet otrzymał d. 19 marca następującą odpowiedź od kapituły wileńskiej, którą przytaczamy dosłownie ze względu na historyczne znaczenie tego dokumentu.

KAPITUŁA
BAZYLIKI KATEDRALNEJ
WILEŃSKIEJ
1133.

Wilno d. 19.III.1930 r.

Do

*Litewskiego Komitetu uczczenia pamięci Wielkiego
Księcia Witolda w Wilnie.*

W odpowiedzi na pismo z d. 16 m. b., skierowane do JE. Arcybiskupa Metropolity Wileńskiego a przezeń przesłane Kapitułce do zaopiniowania i decyzji, Kapituła przy niniejszem załącza odpis protokołu w poruszanej sprawie.

(—) *Prłat Hanusowicz Prepozyt Kapituły.*

Odpis protokołu posiedzenia Kapituły Metropolitalnej Wileńskiej z dn. 18 marca 1930.

Obecni wszyscy członkowie Kapituły z wyjątkiem ks. prałata Sadowskiego i ks. kanonika Sawickiego.

Ks. Biskup Michalkiewicz zakomunikował Kapitułce treść pisma Litewskiego Komitetu Wileńskiego z d. 16 m. b. na imię JE. Arcybiskupa-Metropolity Wileńskiego z prośbą o danie urzędowego zezwolenia temu Komitetowi na umieszczenie w Bazylice Wileńskiej sarkofagu dla złożenia w nim pozostałych przy tym Kościele kości Wielkiego Księcia Witolda.

Po wysłuchaniu treści wyżej wymienionego pisma. Kapituła zasadniczo się wypowiedziała przeciwko stawianiu pomnika Wielkiemu Księżu Witoldowi w Bazylice, ponieważ pomnik już istnieje w Katedrze. Tem bardziej mowy być nie może o stawianiu sarkofagu dla umieszczenia w nim kości Wielkiego Księcia Witolda, gdyż nikomu z obecnie żyjących nie wiadomo, gdzie się znajdują prochy Wielkiego Księcia w Bazylice, podziemia której są zasypane gruzem przez architekta Gucewicza przy odnawianiu katedry w końcu XVIII wieku. Pogłoski, szerzone przez emisariusza Litewskiego p. Donata Malinowskiego o rzekomej odnalezieniu szczątków W. Ks. Witolda, nie mają najmniejszych podstaw.

Za zgodność Kanonik *Chalecki* Sekretarz Kapituły.

Uchwała powyższa kompromituje w najwyższym stopniu kapitułę wileńską, na co już nawet zwrócił uwagę „Kurjer Wileński”.

Cóż mogło skłonić czcigodnych prałatów wileńskich do wypowiedzenia się *zasadniczo* przeciwko stawianiu pomnika W. Ks. Witoldowi w Katedrze? Kapituła powołuje się na fakt, że pomnik już istnieje.

Ze zdumieniem przecieramy oczy. Gdzie, co, jak? Czyżby skromna tablica, wmurowana w ścianę przez Eustachego Tyszkiewicza w r. 1853, w oczach kapituły miała uchodzić za pomnik godny znakomitego władcy Litwy i i fundatora Katedry? Już nie obojętność (karygodna niewątpliwie) względem pamięci swego dobroczyńcy przebija z przytoczonej uchwały kapituły, lecz wyraźna niechęć i wrogość, zasługująca na jaknajsurowsze potępienie!

Druga część uchwały, w której jest mowa o nieznanem miejscu spoczynku prochów W. Księcia, również nie wytrzymuje krytyki. Istotnie nikomu nie jest wiadomo napewno, gdzie są złożone szczątki bohatera Litwy, ale kapituła jest najmniej kompetentną do wydawania sądów, czy przypuszczenie p. Malinowskiego ma jakąkolwiek podstawę czy nie. Tylko komisja, złożona z wytrawnych historyków i archeologów mogłaby orzec, po zbadaniu dokładnem aktów i planów przebudowy katedry przez Gucewicza, gdzie mogą według wszelkiego prawdopodobieństwa spoczywać prochy Witolda i o ile jest wiarogodną hipoteza p. Malinowskiego.

Niewątpliwie negatywne stanowisko kapituły wileńskiej wobec projektu wzniesienia pomnika w katedrze wileńskiej w znacznej mierze należy przypisać temu, że z propozycją wystąpił komitet litewski. Niepowodzenie to daje przedsmak tych trudności, z jakimi wypadnie walczyć na naszym gruncie komitetowi, gdy zechce realizować swą uchwałę, powziętą na jednym z ostatnich posiedzeń, aby „organizować uroczystości o szerszym programie, dając sposobność innym narodowościom wzięcia w nich czynnego udziału”.

Tych trudności nie będzie miał oczywiście komitet obchodu, który ma powstać w najbliższej przyszłości i którego utworzeniem ma się zająć tymczasowa komisja organizacyjna, wyłoniona d. 25 marca na zebraniu, zwołanem ad hoc przez prezydenta m. Wilna mec. Folejewskiego. Do komisji tej weszli: p. p. J. Folejewski, L. Abramowicz, M. Brensztejn, prof. St. Ehrenkreutz, M. Engiel, prof. St. Kościalkowski, Br. Krzyżanowski, St. Mackiewicz, K. Okulicz, J. Ostrowski, J. Piłsudski, W. Piotrowicz, prof. F. Ruszczyk, ks. prałat A. Sawicki, W. Studnicki i prof. M. Zdziechowski.

Sądzymy, że jednym z najważniejszych zadań przyszłej komisji tymczasowej będzie nawiązanie porozumienia z istniejącym już komitetem litewskim w celu opracowania wspólnego programu obchodu i skoordynowania, o ile się da, prac i zamierzeń organizacyjnych.

*

„Viln. Rytojus” zamieściło wzmiankę kronikarską o powyższem zebraniu i utworzeniu wspomnianej komisji, z której widać, że redakcja pisma litewskiego jest w błędzie, ponieważ nazywa tymczasową komisję organizacyjną „komitetem”. W rzeczywistości komitetu obchodowego jeszcze niema. Wybrana na zebraniu w dn. 25 marca komisja ma się dopiero zająć utworzeniem komitetu.

Uderza również w notatce tej wyraźna niekonsekwencja. Z jednej strony ubolewa ona, że do składu komisji weszły takie jednostki: jak p. p. St. Mackiewicz, J. Ostrowski i W. Studnicki, znane ze swych uczuć i wystąpień antylitewskich, z drugiej zaś strony wyraża zdziwienie, że obok nich znalazły się osoby poważne i bezstronne. Czyżby więc „Viln. Rytojus” wolało, aby organizowaniem obchodu zajęli się wyłącznie imperjaliści i nacjonałiści polscy? *cz.*

Piszą do nas.

Obrazek, jakich wiele.

We wsi Rondomańce gminy Marcinkańskiej istniała w ciągu 8 lat szkoła litewska T-wa „Rytas”. Obecnie szkoła jest nieczynna, ponieważ nauczycielka nie może doczekać się zatwierdzenia. Rodzice wyprawiali trzykrotnie delegację do inspektora szkolnego w Grodnie, lecz bezskutecznie. D. 25 stycznia zjechał do wioski inspektor szkolny we własnej osobie dla zbadania sprawy na miejscu i zwołał za pośrednictwem sołtysa wszystkich tych, którzy byli podpisani na podaniach. Po wysłuchaniu skarg i żądań zebranych inspektor oświadczył krótko: „Wasza nauczycielka zajmuje się polityką, lepiej proście władze o inną nauczycielkę, wówczas nikt wam nie będzie przeszkadzał. Ja dam wam nauczycielkę, która pochodzi z Kowna i umie po litewsku i po polsku”. Na tem rozmowa się skończyła.

A zaraz potem rozpoczęły się dochodzenia policyjne, wzywania do Marcinkaniec prezesa i sekretarza miejscowego oddziału T-wa Ś. Kazimierza, pogroźki, protokoły za rzekomo nielegalne zebrania i t. p. szykany.

I nie jest to bynajmniej obrazek wyjątkowy. Przeciwnie jest to zjawisko pospolite, że administracja usiłuje regulować życie naszej ludności według własnego widzimisie, nie licząc się zupełnie z jej życzeniami i przekonaniem. A tam, gdzie wchodzi w grę czynnik narodowościowy, ingerencja władz administracyjnych w życie społeczne staje się wprost nie do zniesienia. Jakże nam daleko do kultury prawdziwie zachodniej, o której tyle się pisze w prasie polskiej i którą tak lubią się przechwalać rozmaici kulturtregerzy galicyjscy!

Rondomański.

KRONIKA.

Niezasłużone względy. W swem sprawozdaniu z dorocznego obchodu święta narodowego białoruskiego (ogłoszenie niepodległości Biał. Republiki w dn. 25 marca) „Dziennik Wil.” uważał za potrzebne podkreślić nieobecność na uroczystości redaktora „Przeglądu Wil.” oraz „Innych działaczy polsko-białoruskiego zblżenia”. Redaktorowi naszego pisma bardzo pochlebna ta troskliwa uwaga, jakiej jego osoba doznaje ze strony „Dziennika Wil.”; czuje się on mocno zażenowany tem specjalnem wyróżnieniem. Nie przyszło mu nawet na myśl, że jego nieobecność na obchodzie, uwarunkowana złym stanem zdrowia, może być wytłumaczona jako manifestacja o charakterze politycznym. Na przyszłość będzie oględniejszy i postara się nie dawać powodu do niepotrzebnych domysłów.

Kogo zaś miał na myśli „Dziennik Wil.” wspominając o „innych działaczach polsko-białoruskiego zblżenia” — tego oczywiście nie podejmujemy się rozstrzygać. Wiemy tylko, że w tym roku, przeciwnie, na obchodzie było o wiele więcej przedstawicieli społeczeństwa polskiego, niż w latach ubiegłych i sama uroczystość, wbrew twierdzeniu „Dziennika Wil.”, wypadła bardziej okazale.

In foro externo. Jak donosi korespondent „Il. Kurjera Codz.”, w Brukseli w klubie „Le Rouge et le Noir” litewski konsul gener. p. Fürst—Magermann wygłosił odczyt pod tyt. „Wilno—miastem Polski, czy Litwy?” Prelegent otrzymał rzęsiście oklaski. Następnie zabrał głos członek klubu p. Edmond Pérey, Francuz, zbijając wywody przedmówcy i usiłując dowiedzieć bezpodstawności pretensyj litewskich, ale spotkał się z uznaniem jedynie ze strony nielicznych obecnych na zebraniu Polaków. Natomiast czterej następni mówcy, w tej liczbie znani adwokaci p.p. Struye i Aronstein, którzy wszyscy bronili tezy litewskiej, byli gorąco oklaskiwani przez całe audytorjum.

Korespondent z tego powodu nie posiada się z oburzenia i wydziwiał, że ze strony polskiej nie pomyślano o odpowiednim zareagowaniu na agitację litewską i nie przeciwstawiono się jej należycie.

Najbardziej zaś dotknęło owego korespondenta wystąpienie p. Struye, który „nie zawahał się nawet zrobić porównania Wilna z Brukselą. Tragicznym zbiegiem okoliczności Bruksela, stolica Belgii i Brabantu, czyż nie jest istotnie naskroś miastem flamandzkim, mimo jej szczerze przywiązanie do kultury francuskiej i języka francuskiego?”

Trzeba przyznać, że p. Struye uczynił bardzo trafne porównanie, i jeżeli inne jego argumenty nacechowane były taką samą znajomością rzeczy, to polemika z niemi nie należała do zadań łatwych.

Dogadali się! Dr. A. Krysiński, o którego elukubracjach na szpaltach „Spraw Narodowościowych” wspominaliśmy już w „Przeglądzie Wil.”, w ostatnim zeszycie tego czasopisma zamieścił dokończenie swych kazuistycznych dociekań na temat liczby i rozmieszczenia ludności polskiej na „Kresach Wschodnich”, w którym doszedł do wniosku, że *zwartego obszaru białoruskiego nietylko przy rozpatrywaniu całych powiatów, lecz i przy uwzględnieniu mniejszych jednostek administracyjnych w granicach państwa polskiego doszukać się niepodobna...*

Pewnie, że to jest trudne zadanie, skoro się wychodzi z założenia, że w takim powiecie święciańskim ludność polska wynosi 59 proc., a w pow. oszmiańskim nawet przeszło 82 proc.! Operując taką statystyką można dojść do wyników jeszcze ciekawszych i oryginalniejszych.

Manja mocarstwowa. Gdy p. Cat dowodzi konieczności rozwiązania Sejmu i zbawienności rządów dyktatorskich, to nigdy nie omieszka dodać przytem, że tego wymaga rozwój mocarstwowy państwa polskiego. Gdy w temże „Słowie” p. Tertius uskarża się na upośledzenie gospodarcze Wileńszczyzny i nawołuje całe społeczeństwo do sformułowania swych postulatów, to napewno nie zapomni zaznaczyć, że sprawa udzielenia przez rząd ludności Wileńszczyzny wydatnej pomocy zadecyduje o mocarstwowem stanowisku Polski. Gdy w Wilnie się otwiera Instytut badawczy Europy Wschodniej to oczywiście ma on mieć ogromne znaczenie dla mocarstwowości Polski. Nawet, w otwarciu muzeum T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie jeden z mówców dopatrywał się doniosłego momentu dla interesów mocarstwowych Rzeczypospolitej Polskiej... Słowem niema zdarzenia w naszym życiu publicznem, od któregooby nie zależała przyszłość Polski, jako mocarstwa. Sądząc z tych rozlegających się na każdym kroku głosów, nikt u nas o niczem innem nie myśli, jak tylko o przyczynieniu się do rozkwitu potęgi państwa. Więc,—jak mówią Rosjanie—*zaczem dzieło stało?*

Nawet koldunów nie znają. Niemordowanemu feljetoniście „Gazety Warszawskiej” nigdy nie zabraknie farby do osmarowania na czarno zniechęconej sanacji. Jak niema istotnego powodu, to dopatry się jej winy nawet w nadmiernej przeciąganiu się niewyraźnej pogody marcowej. Na sanację też chciałby zwalić wyłączną winę za ciężkie czasy, jakie przeżywa obecnie Wilno i bardzo jest niezadowolony z tego, że w Wilnie rozlegają się narzekania, zamiast na sanację, na Warszawę wogóle.

Prawda że już mamy dosyć „i tych parad i tych defilad i tych galówek i tych mówek i tego Bandurskiego i tego Bandrowskiego”, że już wszystkim dokuczyły natrząsania się Marszałką (przez wielkie M.) nad marszałkiem (przez małe m), ale temu, że „hotele puste i restauracje puste” i że „ludziska ubierają już całkiem jak gdzieś w Charkowie czy Symferopolu, obdarci, niegoleni, niestrzyżeni i niekapani”—temu wszystkiemu nie jest winna „satanacja”, — jak się wyraża p. A. Nowaczyński,—lecz niezmienna od samego początku, po przez wszystkie rządy, centralistyczna, krótkowzroczna, egoistyczna i zarozumiała polityka Warszawy...

A próbke tej zarozumiałości i ignorancji warszawskiej mamy właśnie we wspomnianym feljetonie p. Nowaczyńskiego, któremu się zdaje, że kolduny je się z masłem, czy na masle...

Książki nadesłane do Redakcji.

Semkowicz Władysław prof. *Wspomnienia z Litwy Kowieńskiej.* Kraków. 1930.

Kon Pinchas. *Nekrolog Hebrajski J. Lelewela (1861)* Wilno. 1930.

